O własnych siłach

ORGAN SAMORZĄDU UCZNIÓW PAŃSTW. GIMNAZJUM II.
im. A. Witkowskiego, w Jarosławiu.

Redakcja i Administracja: Gimnazjum II. w Jarosławiu.
Za Redakcję: Kuźma Adolf. Opiekun pisemka profesor W. Kunisz.

ROK V. Kwiecień 1935. Nr. 4. (26.)

WÓDZ.

Wielki poemat — to całe Twe życie
Wroga zwalczałeś i jawnie i skrycie
I w klęsk dni szare i złe dni cudu
Byłeś snów tęczą dla swego ludu,
W myśl Twej idei zawsze nam i wszędzie
Hasłem zaszczytnem wyścig pracy będzie
I cud świętego miłości płomienia. —
To Ci ślubujem w dniu Twego Imienia.

(:*Zygmunt Bronicki*:)

Z portretu patrzy na nas On, wcielenie legendy o wolnej, potężnej Polsce. Był Jej rycerzem — jest Jej budowniczym. Młodzieńcze Jego lata, to długi szereg zdarzeń, cierpień i straszliwych zmagań z potęgą caratu. Znają Go szare robotnicze masy Polski w niewoli, gdy kuł w nich stalową świadomość o konieczności dziejowej, co nadejść musi, jako rycerski czyn, za którego purpurą widnieją złote wrota wolnej i niepodległej Ojczyzny.

Ten czyn wstał w krwawej pożodze wojny europejskiej jak straszliwy anioł — mściciel z mieczem polskim w dłoni. Znają Go szerokie przestrzenie pobojowisk polskich, gdy On, potomek husarzy skrzydlatych, w szarej maciejówce i kurcie strzeleckiej jak orzeł przelatywał legjonowe, rycerskie szeregi i mieczami ich kuł granice Polski, spędzając z nich drapieżne orły zaborcze.

A kiedy spoczęły oręże i rosnąć poczęły złote zboża na zoranych pociskami obszarach polskich, On raz jeszcze zerwał się na czyn, by granice Rzeczypospolitej obronić przed krwawem widmem od wschodu, co wyciągało wraże ręce przez Polskę ku Europie.

Padł czerwony wróg, rozciągnięty bezwładnie poza rubieżami Ojczyzny.

On — Wódz — stał się spadkobiercą duchowym tych, co aż pod Wiedeń szli, by bronić Ojczyzny i Europy. On wskrzesił starą legendę o Polsce, która zwała ją „przedmurzem chrześcijaństwa".

A kiedy miecz złożył, chwycił kielnię budowniczego i wznosi jasny, słoneczny gmach Ojczyzny. Wara od Polski wrogom — bo na rubieżach czuwają polskie pułki, miłujące Ojczyznę do ostatniego tchu. Rośnie w moc Ojczyzna, bo nad nią czuwa wielkie, miłujące serce Wodza, bo mądre Jego oczy patrzą w Polskę z miłościa serdeczną.

Roman Lachman kl. VII.

U wiosny wrót.

Smutek jakiś głęboki otacza jeszcze przyrodę. Rozpoczynają się pochmurne dni marcowe. Czas rozmiękły, dokuczliwy, przemglony. — Skołtunione ciemnice tłuką się po pustych polach i przyćmiewają wszelką światłość, jakoby wiszące zmierzchy. — Świat cały zda się gubić w tych oparach i roztopach. Jakieś tęsknice biegną od tych pól rozmiękłych, które ledwie można dojrzeć w tych burych mgliskach, przywartych do ziemi samej. — Patrząc na krajobraz, zdaje się nam, że te pola, sady, drogi i to niebo, tworzą jedną jakąś monotonną połać, jakąś siną topiel. Cisza dookoła nieskazitelna... Tylko w podmuchach wiatru drżą biedne drzewiny, nagie jeszcze. - Zdaje się nam, że wiew tego wiatru rozsiewa smutek dokoła, że napełnia swem żałosnem skomleniem, czy też melancholicznem wyciem tę pustkę i powiększa ciszę, która rozpostarła szeroko swe skrzydła na ziemi, jakby w oczekiwaniu czegoś wielkiego... Pozorną

jest jednak ta martwota; niechaj tylko pokaże się słońce, a wnet wszystko się ożywia, powstaje wesołe i radosne.

Ileż wtedy radości, wesela i śmiechów! O życiodajne promienie słoneczne! Wszystko gorzeje światłością. Lśnią się w blaskach słońca wody, wypełniające każdą zaklęsłość gruntu. Skrzy się rosa nieobeschła, a pola pobróżdżone strugami, leżą jeszcze ciche, jakby oniemiałe, ale już dyszące ciepłem i wezbrane wiosną. Tu i ówdzie jarzą się jeszcze w złocistych promieniach słonecznych swą ostrą białością niestopione śniegi.

Wszystko tajemniczemi usty zda się głosić: „wiosna niedaleko".

Idą w świat, dyszące radością te lube, wiośniane tchnienia i z serc naszych wyrywają jeden, ale jakże wymowny i przejmujący jestestwo okrzyk „Wiosna idzie!".

Życie tętni. Do uszu naszych dolatują poryki bydła, które po raz pierwszy wychodzi na zieloną ruń.

Dolatuje nas daleki, brzękliwy łoskot dzwonków, u ich karków uwiązanych. — Gdzieś tam na dalekim wygonie rżą konie, wierzgają zadowolone i napełniają kwikiem okolicę. — A bliżej w domostwach ruch i życie. W sadach przekrzykują się gęsi, koguty pieją po płotach, psy szczekają zajadle po drogach, dzieci zaś napełniają wrzawą opłotki, bawiąc się z zadowoleniem w błocie. — Gospodarz wyciąga pług. — Ziemia — jego ukochanie, jego matka, czeka już nań, prosi się i oczekuje go. Radość, uniesienie, zadowolenie!

Józef Kwiatkowski kl. VII.

Część pierwsza.

Niezadługo minie już ośm lat od chwili kiedy zostałem wpisany jako uczeń kl. I tego gimnazjum. I właśnie teraz, kiedy jestem prawie jak gdyby na „wychodnem", przychodzą mi na myśl te pierwsze chwile jakie spędziłem w gimnazjum, — te uczucia, które budziły się we mnie przestępując próg budynku szkolnego.

Była to uroczysta chwila, kiedy wprowadzony przez

rodziców, szedłem do egzaminu, któremu każdy, poddać się musiał, chcąc być przyjętym do klasy pierwszej. Wiem, że szedłem z odwagą, bo widziałem koło siebie rodziców, ale czy lękałem się więcej egzaminu czy tego olbrzymiego budynku nie wiem, pamiętam tylko, że długi czas przed egzaminem, chodziłem przypatrywać się budynkowi, do którego miałem uczęszczać przez ośm lat. Ten gmach budził we mnie jakieś dziwne uczucie, które nie pozwalało mi, ażebym wszedł sam do wnętrza tego gmachu i zobaczył go z wewnętrznej strony. Dopiero, kiedy egzamin dawał mi prawo wstępu zrozumiałem to dziwne uczucie, które niezrozumiane przeze mnie, kryło się w mej duszy. Otwierając te ciężkie, olbrzymie drzwi frontowe, miałem wrażenie, że wchodzę do jakiejś świątyni, w której kryje się wielka powaga — i nieomyliłem się zresztą bardzo — bo wchodziłem przecież do świątyni nauki. Wzruszenie mną ogarnęło.

Pamiętam, jak stawiałem niepewne kroki na pierwszych schodach w westybulum, a potem jak drżącą ręką pchałem drzwi, które puszczone wracały same do swego pierwotnego położenia. Zdawało mi się wtedy, że wszystko jest tak poważne, jakby smutne, z murów wiał jak gdyby chłód — miałem wrażenie, że nie wytrzymam tutaj, że będzie to dla mnie wielką męką, chodzić codziennie i być zmuszonym patrzeć na to samo otoczenie przez ośm lat. To była pierwsza moja myśl, która przebiegła lotem błyskawicy przez mój umysł, — nie mogłem bowiem długo zastanawiać się nad mojemi uczuciami, bo za chwilę miałem zdawać egzamin. Nabieram odwagi — uwalniam się z pod opieki rodziców i wchodzę sam do klasy. Siadam ostrożnie w ławce i spoglądam z ciekawością po twarzach moich przyszłych kolegów. Widzę kilku znajomych ze szkoły ludowej, reszta — nieznana, wszyscy jednak mają twarze poważne, przejęte ważnością chwili. Jedna tylko twarz była uśmiechnięta i to mego sąsiada, który siedział tuż koło mnie w tej samej ławce. Jego wieczny uśmiech (bo do dnia dzisiejszego nie schodzi mu z twarzy) napełnił me serce jakąś otuchą, radością i nadzieją, że życie w tej szkole nie będzie tak bardzo po-

ważne jak w obecnej chwili. Ogarnęła mną ciekawość dowiedzieć się, kto jest tym śmiałkiem, który tak swobodnie śmieje się w tak decydującej chwili. Zaimponował mi swoją odwagą, której zazdrościłem mu z całej duszy. Jego ciemna cera i te czarne śmiejące się oczy przypomniały mi w pierwszej chwili jakiegoś murzyna, chociaż on był zupełnie inny. Nos, usta różniły go bardzo od mieszkańca podzwrotnikowego kraju — jednem słowem spodobał mi się bardzo. Ale musiałem obserwacje te zakończyć, gdyż egzamin się zaczął. Odpowiedzi dawałem z lekką „tremą", której pozbyć się w takiej chwili jest bardzo trudno. Egzamin skończył się.

Zostałem umieszczony na liście uczniów klasy pierwszej. — Serce moje wtedy nie było przepełnione temi smutnemi myślami jakiemi byłem obarczony wchodząc do gmachu szkolnego. Teraz byłem już szczęśliwy, rozradowany, śmiało spoglądający na wszystkich i na wszystko, bo wiedziałem, że będę mógł wchodzić do wnętrza tego budynku z odwagą i bez uczucia, które tkwiło we mnie przedtem patrząc na ten gmach szkolny. Za dwa miesiące miałem rozpocząć naukę. Przede mną stały otworem wakacje, w czasie których niejednokrotnie zastanawiałem się nad tem nowem życiem, które wkrótce miałem zacząć. Chciałem, aby te wakacje skończyły się jak najprędzej, ażebym mógł, włożywszy tornister na plecy (całą I kl. przechodziłem książkami na plecach) pójść do szkoły, która tak bardzo mnie interesowała.

I nadszedł ten dzień upragniony, kiedy w odświętnem ubranku poszedłem razem z innymi w szeregu do kościoła na rozpoczęcie roku. I zdawało mi się wtedy kiedy ustawialiśmy się w czwórki na dziedzińcu szkolnym, że jestem takim małym nic nieznaczącym pionkiem, który nie będzie wstanie nigdy zająć miejsca tych z klas wyższych. I w sercu mojem powstała myśl zwątpienia, że ja nie podołam tej pracy, która wydawała mi się tak wielką i potężną, wobec której ja ulec muszę. Całe gimnazjum, te ośm klas wydawały mi się wtedy wielką, wielką drabiną do końca której ażeby dojść, trzeba iść całe ośm lat. Tyle czasu wspinać się

po tych szczeblach do góry, uważać ażeby nie upaść, nie zachwiać się, nie stracić równowagi — to zdawało się ponad moje siły. Zwątpienie to ogarnęło moją duszę, z którego jednak nie zwierzyłem się nikomu, ale w sercu mem wytworzyło się jedno wielkie, silne postanowienie, które miałem wykonać, mimo różnych przeciwności i przykrości może, jakie mogły stawać mi na drodze. Postanowiłem wtedy dojść do ósmej klasy, która była szczytem moich marzeń.

Uczęszczając do pierwszej klasy miałem już wytknięty przed sobą cel — była nim 8 klasa, o maturze nie myślałem wtedy, bo nie wiedziałem o niej nic dokładnego. Cel już miałem gotowy. Nad drogą do niego prowadzącą długo się nie zastanawiałem, wiedziałem, że jest tylko jedna, po której trzeba postępować z uwagą, z wielkim wysiłkiem i wielkim nakładem pracy. I słusznie porównywałem tę ciężką pracę do wspinania się po drabinie, w czasie którego, jeden nierozważny krok mógł spowodować unicestwienie wszystkich moich marzeń. Zrozumiałem wtedy, że tylko dzięki pracy, ale systematycznej będę mógł uzyskać to, czego pragnę. Spotykając „ósmaka“, na kołnierzu którego widniały cztery złote paski, emblematy ósmej klasy, patrzyłem na niego z podziwem, z zachwytem wprost, jako na tego, który przeszedł już wszystkie klasy, ucząc się przez całe ośm lat (nie wiedziałem wtedy, że można przechodzić czasem z klasy do klasy nie ucząc się bardzo).

Te rozważania i myśli kotłowały mi się w mózgu w drugiem półroczu pierwszej klasy, pierwsze półrocze minęło na poznawaniu otoczenia, w którem obracałem się, nie odnosi się to tylko do kolegów, ale również do całego budynku, którego długie korytarze i bardzo zawiłe piwnice przedstawiały zagadkę trudną do rozwiązania. Piwnice te, były nieraz świadkami zaciętych wprost walk, które staczaliśmy tam, bez żadnych sekundantów i czujnego oka wychowawcy. W walkach tych rej wodziło zawsze dwóch, jeden to ten mój sąsiad z egzaminu z którym miałem przyjemność siedzieć i w klasie, a który został ochrzczony przez

nas przezwiskiem „przeżuwacza“ jako, że zawsze ruszał szczękami. Drugi, to dzisiejsza sława sportowa, którego wszyscy się wtedy bali, bo słynął on z bardzo gwałtownego temperamentu. Jego dzika, nieokiełzana natura, dawałą sobie bardzo często upust w postaci rozbitych nosów, podrapań i t. d. Słowem, był to waleczny Rinaldo Rinaldini, którego czyny aczkolwiek szalone nieraz i mające przykre następstwa, wprowadzały nas w zachwyt, przez który mieliśmy dla niego pewien respekt. Dzisiaj przedstawia się on zupełnie inaczej — spokojny, zrównoważony, śmiejący się teraz ze swych dawnych wyczynów, po których została mu tylko nazwa „boksera — Rysia“.

Czas mijał szybko i wesoło. Z życia w szkole byłem bardzo zadowolony, zrozumiałem, że ono istnieje i jest bardzo przyjemne — uczucia niechęci wyzbyłem się zupełnie — szkoła była dla mnie radością. Ale wśród tych zabaw, niezapomniałem o postanowieniu danem sobie w pierwszej chwili mego pobytu na terenie szkoły, a które było mi bodźcem do ciągłej pracy.

Nie zapomniałem o moim celu i obowiązkach, które na siebie włożyłem, a z których starałem wywiązać się jak najlepiej. I ogarniał mnie nieraz wielki zapał do nauki, rwałem się do niej z chęcią, z ochotą, chcąc zgłębić ją naraz jednym zamachem, ale wnet stygłem w tym zapale, widząc, że to zła droga do mego celu. Musiałem się uczyć dokładnie, z lekcji na lekcji i wtedy zrodziła się we mnie ambicja, która zmuszała mnie do ubiegania się o miejsce w szeregu uczniów najlepszych. I w takim stanie, parłem naprzód, zdobywając pomało szczeble tej wysokiej drabiny. Każdy skończony rok wlewał w mą duszę radość i siłę do dalszej pracy.

Mijały dnie, miesiące i lata, w których spotykały mnie różne przykrości — i wówczas fala smutku i cierpień uderzała w mą duszę, która łatwo poddawała się tym uczuciom. Przychodził nieraz czas, w którym byłem niezdolny do pracy, byłem zrezygnowany — praca moja wydawała się wtedy bezowocną i niepotrzebnym wysiłkiem. Jednak silna wola nie pozwalała mi abym poddawał się tym myślom zu-

pełnie, wielki hart woli zwyciężył chwilową słabość ducha, zmuszając mnie do dalszej pracy. Trud mój i wysiłek nie pozostałby bez nagrody, osiągnąłem to, czego pragnąłem, — przeszedłem do ósmej klasy, celu mojej pracy ośmioletniej. Serce moje napełniło się radością i dumą, że wytrwałem w postanowieniu danem tak dawno, bo przed ośmiu laty. Marzenie moje zostało spełnione. Ostatni szczebel drabiny został zdobyty, na którym postawiłem odważnie stopę, patrząc w bezkresną dal, roztaczającą się przed mojemi oczyma.

Część II, zawierająca uczucia i rozważania związane z VIII klasą i przyszłością, ukaże się w następnym numerze.

Jultaro kl. VIIIb.

Przyszły cel „ósmaków“.

Oderwaliśmy na chwilę umysł nasz od codziennej rzeczywistości, przenosząc się myślą w świat daleki, w świat nieznany „bo tam nasze istnienie“.

Widzimy siebie samych na nieznanej nam drodze. Wśród kurzu i żaru słonecznego kroczymy naprzód z głowami wzniesionemi do góry, ze śpiewem na ustach, pewni swoich sił, których zapas ma nam starczyć na długie lata. Droga to długa i bardzo uciążliwa, bo raz trzeba iść pod górę, znów potem schodzić ostrożnie w dół, by potknąwszy się na jakimś kamieniu, nie upaść w przepaść.

Dochodzimy do miejsca, gdzie droga rozchodzi się w różnych kierunkach. Każdy z nas obrał sobie jedną z nich, bo ona ma go zaprowadzić do wytkniętego celu, rozumiejąc przytem, że dla osiągnięcia tego celu musi pokonać tysiączne trudności i przeszkody, tak materjalne jak i psychiczne. Wie też każdy z nas o tem, że umiejętne zwalczanie tych przeszkód, wiara w zwycięstwo i głęboka siła moralna — to czynniki decydujące o powodzeniu w tej walce.

Niektórzy z uśmiechem na twarzy spoglądają ku dalekim siwym widnokręgom i na drogę, której końca dojrzeć nie mogą. Lecz są i tacy, którzy boją się spojrzeć przed

siebie, wodząc tylko wzrokiem po twarzach towarzyszy, jakby tam szukając ochoty, na tę nieznaną im drogę życia.

Z gromady wychodzi chłopak, wysokiego wzrostu o silnej budowie ciała, śmiałem, prawie wyzywającem spojrzeniu i staje na przydrożnym pagórku.

Koledzy! pada z jego ust — silnym melodyjnym głosem.

Czasy w których nam żyć wypadło, czasy wielkich wydarzeń i przeobrażeń, wymagają od nas niezwykłej sprawności, gotowości, wysiłku i równowagi ducha.

Szkoła, którą niedawno skończyliśmy, wyrobiła z nas obywateli świadomych swoich obowiązków wobec państwa i społeczeństwa, była jest i będzie tym potężnym drogo wskazem, ktory wytknął nam prostą drogą codziennego obowiązku obywatelskiego, by w tej wędrówce ku wytkniętym celom, nie pobłądzić na krętych ścieżkach życia, które nas zaprowadzą ku wielkim przeznaczeniom przyszłości.

Mamy być uczciwymi, karnymi i ofiarnymi obywatelami w spełnianiu swoich obowiązków.

My wszyscy idziemy tworzyć nowe życie, idziemy budować wielką, potężną Polskę przyszłości. Nie wolno więc opuszczać nam głów lub oglądać się poza siebie, ale z wiarą w zwycięstwo kroczyć naprzód, chociażby drogę skropić wypadło nam własną krwią. Te jednostki, dla których trud własny, własny nakaz woli, własna ambicja wewnętrzna i zdolność samowychowania się w ciężkim, codziennym trudzie, bez oglądania się na pomoc zewnętrzną, tylko te jednostki zdolne będą do czynu, do tworzenia nowej rzeczywistości.

Nie zrażajcie się niepowodzeniami, lecz z siłą moralną i z wiarą w siebie obalajcie przeszkody, a wtedy droga do rozbudowy mocarstwowej Polski będzie dla was otwartą.

Skończył. Każdy z obecnych z nową wiarą i z niezachwianem postanowieniem ruszył w obraną drogę, by za lat kilka spotkać się na tem samem miejscu i zdać sprawozdanie ze swej działalności.

Już zniknęli z oczu, już pochłonęły ich, nieznane losy.

Czy osiągnęli swój cel, czy z powołaniem swojem mi-

nęli się? Ilu zbierze się na umówionem miejscu i jak będą wyglądać po trudach i znojach w codziennej wędrówce życia? Czy poznają samych siebie? Chyba... tak!

Kupka Franciszek kl. VIIIb.

Zwyciężyli!

Krótki gwizd, zgrzyt i pociąg rusza, przeginając się i kręcąc jak wąż stalowy po zwrotnicach.

— „Cześć!“ — dał się słyszeć głos w oknie jednego wagonu. — To „druga buda“ jedzie do Przemyśla, i żegna swych kolegów pozostających w Jarosławiu.

— Ta tego! — Staszek, uważaj, abyście nie przegrali, bo byłoby to... nieszczęściem, no może nie tak nieszczęściem ale... ale... nie wiem czem.

— „My niezwyciężeni“ — dał się słyszeć piskliwy głos, który jednak utonął w ogólnej wrzawie i huku.

W miarę zbliżania się do Przemyśla, przycichało w wagonie, — niektórzy upojeni pędem, marzyli oparci o okna, inni myśleli o... zwycięskich laurach, jakie czekały w przemyskiej hali sportowej.

Wreszcie nieczuły tytan, stanął na dworcu przemyskim. „Jarosław“ dosyć liczny „wysypał się“ przed stację, gdzie prócz „płci pięknej“ oczekiwała garstka domniemanych przeciwników.

— „Patrz! oni się chcą z nami mierzyć“ — szepnął któryś z naszych pogardliwie, wodząc oczyma po ich grubych karkach i szerokich barkach.

Pewnym krokiem ruszyli do hali i po chwili stanęli do walki „na śmierć i życie“.

Ciszę przerwał przeciągły gwizd sędziego. — Wyleciała w powietrze piłka i zatoczywszy dziwne zygzaki odbita kilkakrotnie, spadła jak piorun... niestety na stronę naszą.

„Ta joj“ — dało się słyszeć westchnienie (czyje?) „To nie“ — mruczał Staszek — nic strasznego. Gra na wysokim poziomie — piłka byskawicznie przeskakuje siatkę, zatacza łuki i jak kula upadnie (częściej po stronie naszej drużyny).

Pierwszy set skończył się zwycięstwem gospodarzy (9 : 15). Goście „speszeni“ postanawiają się zrehabilitować. Grają ofiarnie, często „rozciągnie się“ który- lecz piłkę weźmie i drugiego seta wygrywają.

Szczęście im sprzyja — niewiadomo co naszą drużynę zachęciło, czy słonie, które miała jako nagrodę dostać, czy co innego, że grają doskonale i wygrywają zasłużenie.

Zabrzmiała burza oklasków, jawny dowód sympatji dla naszych zwycięzców, „dyplomowani mistrzowie siatkówki“ pożegnali Przemyśl po kilku godzinach.

W bezprzykładnej zgodzie wraca „wesoła brać“ do Jarosławia.

Z młodzieńczych piersi wyrywa się potężny śpiew, zadowolenia.

A. K. kl. VIIIa.

„Privatleben der Studenten“.

Olbrzymi gmach gimnazjalny widoczny na tle jasnego nieba zarysowuje się ponuro, a wygląd jego wzbudza zimne dreszcze w niejednym przechodniu spieszącym w pobliżu tego kolosa.

Na pobliskim ratuszu wybija godzina 1-sza. Ponury dotychczas gmach ożywia się nagle, napełnia się gwarem zmieszanym z gwałtownemi wybuchami śmiechu i oto z bramy wysypuje się gromadka roześmianych uczniaków. Wśród ożywionej rozmowy i dość częstych szturchańców dochodzą do rogu ulicy i tu żegnają się. Trzech młodzieńców oddziela się i skierowuje swe kroki w stronę t. zw. „corsa“. Nagle idący po prawej stronie rzuca niespodziewanie pytanie:

— „Po jaką chol... — my tam idziemy“?

Najwyższy z nich spogląda na niego wzrokiem pełnym politowania i odpowiada:

-- „Widać, żeś nie dorósł do VIII kl.“ — „Nie wiesz poco chodzi się na corso“? — „No to ja Ci powiem“. — „Idzie się poto, żeby zobaczyć swoją .... kogoś znajomego...“

Tamten nic nieodpowiedział, lecz widać było z jego miny, że gorzko żałuje swego zapytania.

Po półgodzinnym spacerze nasi bohaterzy decydują się iść na obiad. Przy pożegnaniu smukły blondyn pyta się:

— „Adaś co robimy dziś popołudniu“? — „Idziesz może na hokej“?

Nazwany Adasiem pokazuje nato palcem swój spuchnięty policzek i odpowiada:

— „Patrz Staszek jak mi kicha nawaliła po wczorajszym hokeju“ — „Mam już tego dość“ — „Dziś zagrajmy lepiej w szachy w kółku rodzinnem“.

Po długich dyskusjnch decydują się: Po obiedzie zbiórka o godz. 4-tej u Adama, no a potem jakoś to będzie.

— — — — — — — — — — — — — — —

Punktualnie o godz. 4-ej widzimy naszych bohaterów w jasno oświetlonym pokoju grających spokojnie w szachy. Grający mają wesołe miny i „kurząc“ niemiłosiernie (to im przecież wolno) dowcipkują: Nasz znajomy blondynek podnosi oczy z nad „stolika“ i patrząc na towarzysza po lewej stronie odzywa się: „Wiesz co Kaziu, ale Adaś wart jest mata“.

— „Jak ty mu nie dasz to będziesz skończonym osłem“

Nato odpowiada Adaś. — „Ja Ci daję teraz „szech“ „szach“ i „mat“. W dwu ciągach Cię wykończę“. „Spróbuj tylko dać mi „mata“. Ma się rozumieć Kazio stchórzył a w rezultacie Adaś przegrał bez „sztychu“.

Tak mniejwięcej rozmawiając, spędza nasza trójka czas do godz. 6-tej. Zegar wiszący na ścianie wybija regularnie 6 uderzeń. Nagle Kazio podrywa się — rzuca „szachy“ mówiąc:

— „Ja już idę — na jutro mam się dużo uczyć“. — Mam pisać jeszcze lektury polskie, zadanie matematyczne, no i ksiądz zadał, o tym „kwadracie logicznym a ja go wcale nie rozumiem“.

— Nato ze śmiechem odpowiadają koledzy. — „Ta Ty durny pomidor — ta Tadziu jest fajny chłop — on będzie jutro wykładał“. — No a „Ojczulko“ zaklinujemy —

wiesz o czem — no np. o śmierci Maczugi — albo o plebiscycie w Sarze.

— Chodź z nami lepiej do kina, dzisiaj grają „Kariokę“ — „To jest nowy film“. Kazio ma niezdecydowaną minę, lecz obawiając się drwin kolegów zgadza się — no i wkrótce zapomina o lekturach. Sypiąc przez drogę dowcipami na różne tematy, oraz nucąc najnowsze szlagiery kieruje się „Trójca“ w stronę Kina. Tu oczywiście sadowią się odrazu na pierwsze miejsca przed ekranem... Tak... (żeby lepiej widzieć). Film się zaczyna, a nasi bohaterzy pochłaniają chciwie dźwięki i obrazy dzikiego tańca, ujętego przez słynnego reżysera na ekran.

Po dwugodzinnem siedzeniu i ku wielkiemu niezadowoleniu i rozczarowaniu naszych znajomych film się kończy, a z nim ostatnia rozrywka dzisiejszego wieczoru. „Trójca“ w szybkim tempie opuszcza kino, kryjąc nosy w kołnierze, żeby ich przypadkiem jakiś „belfer“ nie zobaczył.

Oto obrazek z życia pozaszkolnego uczni może trochę niepochlebny dla nich, lecz jakże prawdziwy!

S. Banach VIIIa.

Gorący czas.

Bywają w życiu szkolnem chwile, w których naprawdę trzeba się uczyć. Napominania ze strony panów profesorów i „bury“ rodziców, często niekończące się tylko na słowach, (biorę pod uwagę klasy niższe) są najzupełniej zbyteczne w tym czasie, bo każdy sztubak „wkuwa“ niezgorzej od najsolidniejszego rzemieślnika.

Ten gorący czas, to pierwsza połowa grudnia i czerwca Nieuctwo w takich chwilach byłoby znieważeniem utrwalonego przez wieki prawa zwyczajowego. Narazie niema takiego śmiałka, któryby miał odwagę wyłamać się z tych krępujących kajdan tradycji, chociaż nakładają one obowiązki, wobec których niczem są prace Herkulesa.

Do szkoły trzeba więc przychodzić bardzo wcześnie i to nie na obmyśliwanie kawałów (ani dlatego, że pan

Sekretarz zapisuje spaźniających się), tylko na żmudne odpisywanie zadań. A jaka niezmącona niczem cisza panuje wtedy w klasie! Wszyscy tylko obserwują pilnie drzwi, któremi lada chwila może wejść profesor, a wtedy cała robota na nic!

Na lekcjach wszyscy siedzą sztywno, ulegając powszechnej drżączce, gdy tylko skończy ktoś odpowiadać. Czas poobiedni, zasadniczo przeznaczony do łazikowania, wypełnia się ślęczeniem nad książką, t. zn. powtarzaniem (czytaj przerabianiem) materjału od początku. Czasem tylko jakiś wybiedzony sztubak wyleci „na chwilkę na spacer", a wracając, po kilkugodzinnem szlifowaniu bruku do domu, rozpamiętywa smutnie o życiu szkolnem i nieodrobionych zadaniach piśmiennych na dzień następny. Gdyby nie to ranne odpisywanie, połowa uczniów prawdopodobnie zwarjowałaby „z przepracowania". Dziwne jest tylko, dlaczego ten prastary zwyczaj, nie podoba się panom profesorom?

Hänsel Henryk.

Kronika.

Sprawozdanie Sekcji Muzycznej — za miesiące: styczeń, luty i marzec.

W miesiącach sprawozdawczych odbyło się 1 posiedzenie Zarządu na którem uchwalono jednogłośnie, zakupioną przez Sekcję Muzyczną obligację Pożyczki Narodowej № 0130008 ofiarować na fundusz Obrony Morza Polskiego. — Ponadto na posiedzeniu były omawiane sprawy dotyczące urządzenia koncertu.

Z występów orkiestry należy wymienić następujące:

Dnia 27/I 1935 orkiestra grała w kościele kolędy.

Dnia 31/I 1935 orkiestra grała na opłatku urządzonym przez kl. I i II.

Dnia 1/II 1935 orkiestra grała w kościele kolędy, podczas defilady, oraz na poranku urządzonym z okazji Imienin Pana Prezydenta Rzeczypospolitej.

Dzięki staraniom członków Sekcji Muzycznej oraz p. prof. opiekuna J. Kaniaka i p. kapelmistrza R. Pietrońca

w dniu 12/III 1935 r. o godz. 7-ej wieczór urządzono koncert orkiestry dętej w sali Sokoła.

Program koncertu pod batutą p. R. Pietrońca kapelmistrza 39 p. p. Strzel. Lwow. przedstawiał się następująco:

1) ? ? ?

2) J. Fucik — Marimarella-Uwertura.

3) J. Lindsay — Poranek-Walc boston.

4) E. Stolc — Wiązanka z oper Verdiego.

5) A. Andersz — Pożegnanie pocztyljona.

Przerwa.

6) J. Vlach — Fedora-Uwertura.

7) Szuman — Marzenie.

8) O. Kockert — Pożegnanie kwiatów wiosennych-Intermezzo.

9) P. Czajkowski — Taniec polski.

10) Marsz fanfarowy.

Koncert zaszczycili swoją obecnością Pan Wizytator, Pan Dyrektor, oraz grono Panów Profesorów. Czysty dochód z koncertu w kwocie 71·14 zł. został przeznaczony na zapłacenie taksy adm. niezamożnym uczniom Zakładu.

Iwański Czesław
Sekretarz Sekcji Muzycznej.

Z okazji Imienin P. Marszałka J. Piłsudskiego, w klasie VII-mej dnia 18/III 1935 r. został urządzony poranek, na program, którego złożyły się:

1) Słowo wstępne „Budowniczemu Państwa i Wodzowi Narodu w hołdzie" kol. Lachmana.

2) Deklamacja wiersza „Piłsudski" kol. Schmidta.

3) Inscenizacja „Moment życia J. Piłsudskiego" kol. Pragłowskiego i Sierankiewicza.

4) Przemówienie p. prof. Peteli.

5) Zbiórka drobnych datków pieniężnych na budowę Muzeum Narodowego w Krakowie.

6) Odśpiewanie „Brygady" (śpiew ogólny).

Uroczystość tę, nasza klasa obchodziła w wigilję Imienin p. Marszałka, a to dlatego, że w dniu 19/III 1935 r. uczniowie kl. VII zajęci byli w pochodzie „P. W.", nie mogąc

tem samem wziąć udziału w poranku ku czci „Twórcy Niepodległości Polski", urządzonym przez nasz Zakład.

Dnia 6 kwietnia br. odbył się w naszym Zakładzie wewnętrzny **turniej ping-pongowy** o tytuł mistrza Gimnazjum II. Do turnieju zgłosiło się 24 zawodników.

Po licznych niespodziankach ostatecznie na czoło wysunęło się pięciu zawodników zajmując po rozgrywkach finałowych następującą lokatę. Tytuł mistrza zdobył Banach Stanisław kl. VIIIa. Tytuł vicemistrza zdobył Nowotny Adam kl. VIIIa. Na dalszych miejscach widzimy Kaima VIa, Wolbisa V i Chmiela.

Staraniem Koła sportowego przy Gimnazjum I. odbyły się w Jarosławiu dnia 24/II b. r. mistrzostwo szkół średnich w siatkówce męskiej. Na starcie zgłosiły się cztery drużyny tutejszych szkół średnich.

Tytuł mistrza na rok 1934/35 zdobyła drużyna Gimnazjum II go w składzie Chmiel M., Hayder W., Goldberg St., Koba R., Maciejewicz J. i Ukraiński R., bijąc drużynę Gimnazjum I-go w stosunku 30 : 9 i drużynę Szkoły Budownictwa 30 : 19 oraz, osiągając valkover z powodu nie stawienia się drużyny Szkoły Handlowej.

Dalsze miejsca zajęły drużyna Szkoły Budow. i drużyna Gimnazjum I-go. Młodzieży dużo-zainteresowanie widoczne.

Pierwszy międzymiastowy występ drużyny siatkówki naszego Gimnazjum w Przemyślu dnia 16/III b. r. przyniósł jej pełny sukces w postaci zwycięstwa nad mistrzem Gimnazjów przemyskich.

Po bardzo ładnej i ciekawej grze, w której pierwszy set należał do drużyny przemyskiej, dzięki ambicji i dobrej grze Goldberga w obronie a Bartoszka przy siatce, drużyna nasza odniosła zwycięstwo w stosunku 2 : 1. Zainteresowanie zawodami duże. Publiczności około 500 osób, której sportowe zachowanie powinno być wzorem dla publiczności jarosławskiej. Sędziował p. Wagner.